Nr. 5. **Kuryerek Poznański.** Rok 1.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień, w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalna wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza.

Poznań, dnia 29. Kwietnia 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego, ulica Strzelecka Nr. 1.

Ponieważ z wielu stron doszły nas skargi, że zapisywanie Kuryerka Poznańskiego w księgarniach, dla wielu mieszkających na prowincyi jest utrudzające, dla tego oświadczamy, że oprócz księgarń, wprost u Redakcyi (Strzelecka ulica Nr. 1.) prenumerować można, a Redakcya zobowięzuje się numera **franco** na miejsce oznaczone regularnie przesyłać.

Rok 1861. w Warszawie.

Przez

Świętosława z Pasiek.

Ciąg dalszy.

Zygmunt był dzieckiem poczciwego szlachcica z Mazowsza; ojciec mu umarł, kiedy był jeszcze małym chłopcem; matka poszła tuż za kochanym mężem, a biedny Zygmunt, zostawiony na łasce krewnych, wcześnie uczuł kolce tego życia. Pracowity, bo niepopsuty pieszczotami, w ośmnastym roku skończył gimnazyum i z woli swych krewnych przeszedł na lekcye medycyny, którzy mu ten kawałek chleba wybrali z bardzo wielu przyczyn, a głównie dla tego, że medycyna najprędzéj naszemu bohaterowi miała podać kawałek chleba do ręki, a krewnym dać dobry procent za wyłożony kapitał na jego utrzymanie w szkołach i na fakultecie medycznym. Dziewiętnastoletni Zygmunt chodził regularnie na lekcye medycyny, tak samo byłby chodził i na lekcye prawa lub filozofii, bo czyż sierota wychowany na łasce krewnych ma swą wolę? A kiedy jego rówiennikom uśmiecha się życie, to nasz bohater pojmował je jako krwawą arenę, gdzie dużo trzeba walk stoczyć, nim się z nich wyjdzie zwycięzko. Uczył się więc ciągle, zbierał materyały, bo pojmował, że tylko nauką uzbrojony, może stanąć do walki, i tylko jedna nauka może mu zwycięztwo zapewnić we walce z losem i dać na świecie niezależne stanowisko. Trzy już skończył semestra medyczne, koledzy jego nauczyli się patrzeć na niego jak na najpilniejszego swego towarzysza, kiedy nadszedł rok 1860. i 1861.

Naród zaczął budzić się do życia, młodzież stanęła na czele ruchów. — Rzecz dziwna, nader dziwna: ta młodzież wychowana podług zasad muchanowskich nie zmarniała, nie znikczemniała, ale od razu stanęła jak jeden mąż tam, gdzie sądziła że stanąć powinna.

Wobec tego ruchu zrozumiał i pojął Zygmunt, że życie i nauka do niego nie należy. — Ojczyzna się budzi, a ja mamże jak ślimak zamknąć się w skorupie? — Zresztą nie miał czego żałować, był sam, sam jeden na tym wielkim świecie, a chociaż mu może było smutnie umrzeć zdala od ojczyzny, którą tyle kochał, chociaż mu było smutno pożegnać to życie, którego jeszcze nie zaznał, rzucił się w wir tego ruchu, który go magnetyczną siłą ciągnął do siebie.

Przez jednego z swych towarzyszy zrobiwszy znajomość z kapitanem, ojcem naszéj bohaterki, wkrótce stał się codziennym gościem i przyjacielem całego domu. Poczciwy kapitan lubił młodego chłopaka, okazywał mu ojcowską serdeczność i miłość, może mu żal było sieroty, którego nikt szczerze nie kochał, który sam o własnych siłach szedł po twardéj drodze życia, aby zajść do celu, może też ukochał w nim ów hart duszy, który w każdym czynie naszego bohatera tak się przebijał, może też miał inne względem niego zamiary (któż tam ludzi odgadnie). Lubił p. Zygmunta mały Józio, bo go tenże często obsypywał przysmaczkami, a zawsze prawie pomagał mu do zrobienia jego lekcyi. Lubiła go wreszcie szesnastoletnia Marya, bo oczy naszego Zygmunta tak dziwnie jakoś na nią patrzały, jak nie patrzał na nią ani Józio, ani ojciec nawet, chociaż ją swym najdroższym skarbem nazywał i całował w czoło. Dziwnie tylko, że skoro te czarne, wyraziste oczy spoczywały dłużéj na jéj licu, zawsze oczy spuszczała na dół i uciekała do drugiego pokoju, lub też siadywała do fortepianu i zaczęła grać, ale grała tak smutnie, tak tęsknie, że nawet stary kapitan miał łzy w oczach i gwałtem odrywał córkę od fortepianu, bo mu ta gra przypominała żonę, która podobnie jak córka grała, a która tak wcześnie poszła do lepszego świata modlić się o szczęście dla kochanego męża i drobnych dzieci. Bał się zatém by mu również córka jako anioł nie uleciała do innych światów, a on zgrzybiały starzec nie został sam z Józiem wśród obcych mu ludzi. — Marya zaś po każdéj takiéj grze opromieniona, błyszczała szczęściem jakiemś nadziemskiem. — Czy zarodek miłości zaczął kiełkować w duszy szesnastoletniego dziewczęcia?

Tymczasem nie był to czas do miłości i biedna Marya nie wiedziała, że cierpienie zrobi ją niezadługo dojrzałą kobietą i wyleczy na zawsze z szału młodości, robiąc z niéj męczennicę za świętą sprawę narodową.

Nadszedł dzień krwawy, dzień 27. Lutego. Naród nie mogąc dłużéj znieść niewoli, postanowił uroczyście zaprotestować przeciwko jarzmu, jakie kark jego gniotło, a do którego Moskale jeszcze dorzucali ciągle szyderstwa, rozgłaszając przed Europą, że Polska szczęśliwa, że Polska niczego więcéj nie pragnie, bo najmiłościwszy car Alexander wszystko dał czego Polska tylko żądać mogła. Otoż naród chcąc zadać kłam owym fałszom rozsiewanym przez najemne dziennikarstwo zagraniczne i płatnych agentów rosyjskich, pierwszy raz wystąpił z protestacyą widocznie. Nie będziem opisywać całéj zgrozy owego dnia nieszczęsnego, jest ona czytelnikom naszym znana z naszego dziennikarstwa. Dodać tylko musimy, że kiedy tłumy ludu zaczęły pierzchać przed rozjuszoném żołdactwem, które bez miłosierdzia tratowało starców, słabe kobiety i dzieci, kapitan nasz stanął jak wryty;

tyle okrucieństwa, tyle podłości przykuło go do miejsca. On co przeżył już przeszło lat sześćdziesiąt, co służył tyle w wojsku, nie mógł pojąć jak żołnierz może zabijać bezbronnych, rąbać i tratować kobiety i dzieci. Pódniósł pięść do góry, ścisnął — wtém kula przeszyła starca, a tuż przy nim stojąca Marya powalona została koniem kozackim na ziemię.

Byliby oboje zginęli pod kolbami rozjuszonego żołdactwa, gdyby nie Zygmunt, który wraz z kilku towarzyszami przyszedł im w pomoc. Na wpół umarłego kapitana i bezprzytomną Maryą wsadzili do dorożki, zawieźli do najbliższego domu i złożyli u poczciwéj kobieciny, znajoméj Zygmunta. Kapitan jeszcze żył, przywołano lekarza, który wyjął kulę ale oświadczył, że rana jest niebezpieczna, i że wiek i słabe już siły starca nie dają najmniejszéj gwarancyi życia.

Marya przyszła wkrótce do siebie, stan jéj był wynikiem raczéj przestrachu niż stłuczenia, które było boleśne ale nie niebezpieczne.

Kapitan całą noc majaczył w gorączce, przy jego łożu stała blada Marya. Boleść złamała tę słabą istotę — ani jedna łza nie spadła z jéj oka, lecz dosyć spojrzeć na tę młodziuchną twarzyczkę, aby wyczytać co się tam w sercu biednego dziewczęcia dzieje. Usta zaciśnione, sine, ręce załamane, oczy utkwione w ukrzyżowanego Chrystusa, a w nich tyle boleści, tyle rozpaczy, tyle wreszcie prośby, że litość bierze patrząc na to młode dziewczę w samem zaraniu złamane srogością losu. W kącie stoi mały Józio i płacze, on choć dzieckiem, instynktem przeczuwa nieszczęście jakie mu grozi. Zdala od łoża chorego stoi Zygmunt, wpatrzał się w Maryą, nigdy mu się tak piękną nie wydawała jak dzisiaj, złamana boleścią. Noc minęła dla wszystkich bezsennie, rankiem Warszawa okryła się grubą żałobą. Zygmunt musiał porzucić na parę godzin chorego, nad rankiem ustąpiła gorączka, kapitan też odzyskał przytomność, omdlałem okiem powiódł po otaczających go, lecz najdłużéj wzrok swój zatrzymał na Maryi.

— Barbarzyńcy! mordować bezbronnych, słabe kobiety i dzieci, czy to kto słyszał? Maryo! zawołał, chodź, niech cię pocałuję, ja umieram, czuję że mnie odstępują siły, niech cię Bóg błogosławi! — Bądź ty dla małego Józia matką, bądź Polką, żyj dla Polski — ja idę do Boga modlić się o zwycięztwo dla was... Myślałem że jeszcze z orężem poprowadzę naszą młodzież na wroga, że będę świadkiem jéj zwycięztw, a doczekałem się dnia, jakiego bodajby moje oczy nigdy nie były oglądały i umieram na łożku!... Poczém zmordowany, odwrócił się, chrapnął i skonał.

Ciąg dalszy nastąpi.

Musztra.

Broń na ramię! — Naprzód! — Marsz!
Równo piersi, równo twarz.
Stój! — Prezentuj broń! — Na ramię!
Piersi naprzód — męztwa znamię —
Plutonami naprzód! — w prawo!
Naprzód! — krok podwójny! — żwawo!

Stój! — Na lewo w tył i sza!
Niech muzyka żwawo gra!
Do ataku broń i hurra!
Naprzód! naprzód legia wtóra —
Stój na miejscu! — Broń do nogi!
W kozły — bo już pierzchły wrogi.

Tak, tak bracia, naprzód wraz!
Burza czy pogodny czas,
I choć życie ciężko spływa,
Różnie nieraz, nieraz bywa —
Zawsze jednak dzielnie, żwawo,
Zawsze naprzód — choćby krwawo!

Bo to nieraz ciężki świat,
I nie każdy człowiek brat,
I nie jedno ciężko sparzy,
I nie jeden ból się zdarzy;
Człowiek nieraz głucho jęknie,
Serce mało co nie pęknie.

Ale naprzód, naprzód wraz!
Tylko śmiało, bo i głaz,
Bo żelazo nawet harde
Tylko z razu takie twarde,
A gdy dobrze popracujesz,
Więc co zechcesz to wykujesz.

Pomnij na to bracie mój,
I przy swojém dzielnie stój!
A gdy zaczniesz co mój miły,
Temu oddaj wszystkie siły,
I do końca wiedź statecznie,
Bo dokończyć trza koniecznie.

Tak żołnierze moi, tak —
Wasze hasło i wasz znak,
Niechaj będzie święta wiara,
I wytrwałość — cnota stara,
I odwaga polska iście,
Więc i rygor oczywiście.

Może krzykną: Héj na koń!
Szabla w ręce! w ramię broń!...
Przeto bracia musztra zda się,
By ją umieć w swoim czasie...

Listy wychodzcy polskiego.

Ciąg dalszy.

List trzeci.

Newyork, d. 30. Stycznia 1865.

Najdroższa i najukochańsza M.!

Dziś odebrałem list od Ciebie, lecz tylko sznurkami związany, gdyż cała koperta była podarta. Trzy tysiące blisko mil, to zwyczajny papier nie wytrzyma, dla tego jak będziesz jeszcze pisać, kup płócienną kopertę w Poznaniu, dostanie w każdym handlu papieru. A więc pan X. pokazał się w całéj swéj okazałości, wygnał mnie do Ameryki i wystawił najnikczemniéj na głód i nędzę. Chyba że już nie masz Pana Boga w niebie, żeby go za to najdotkliwsza nie spotkała kara; nie masz wyrazów, aby podobną podłość

wyrazić. Żydów nie zapłacił, pozwolił przez to zhańbić moje dobre imie, twoje i moich biednych sierot, odciął mi przez to nawet nadzieję powrócenia kiedykolwiek do méj rodziny. Przez kłamstwa które do S. pogadał, wystawił mnie tu na los najokropniejszy. Czyż można haniebniéj z kim postąpić? Moje chwile życia z przyczyny jego są już policzone, a ostatnia moja myśl, ostatnie moje tchnienie będzie jego przekleństwem, będzie prośbą do Boga, by go najokropniéj ukarał; i przed tak nikczemnym człowiekiem ja się w prochu czołgałem i taki list wtenczas pisałem. O Boże! jak nisko, jak okropnie upadłem. Jak ci to już, najdroższy aniele, donosiłem. Nająłem sobie na sześć tygodni stancyjkę pod dachem, bez pieca, zapłaciłem za śniadanie i obiad z góry za całe sześć tygodni, na co całe moje fundusze prawie poszły. Możesz sobie wystawić, w nieopaloném poddaszu przy ośmnastu stopniach mrozu, byłbym już zmarzł, gdyby nie nieoszacowany kożuch któryś mi na drogę kupiła. Przez całe cztery tygodnie nie mógłem się na nogę ruszyć, tak, że nie byłem nawet w stanie znijść ze schodów, aby się gdzie cokolwiek ugrzać. — Tymczasem minęły te sześć tygodni; gospodyni mi oświadczyła, że jak jéj nie zapłacę, to mnie musi wyrzucić, bo ona sama biedna, kredytować mi nie może. Prosiłem jéj, aby mi jeszcze choć ze trzy tygodnie pozwoliła mieszkać i dawała śniadanie i obiad, że mam nadzieję iż mi z domu przyślą, to jéj zapłacę. Oświadczyła mi że dobrze, jeźli jéj dam futro w zastaw. Wzięła więc futro, a ja przy trzaskających mrozach sypiam już trzeci tydzień pod tą czerwoną kołdrą coś mi kupiła, wcale się nie rozbieram, sypiam w bótach, spodniach i w surducie, i jeszcze w nocy nie mogę doleżeć. Futro poszło na stancyą, i aby choć raz na dzień co zjeść, całą resztę mojéj chudoby i zegarek zaniósłem do lombardu, zostawszy tylko w tém ubraniu co mam na sobie i o dwóch koszulach. Otóż masz obraz całéj nędzy w jakiéj się już znajduję. Wszystko znosiłem ze łzami w oczach, mając jeszcze nadzieję, że X. słowa dotrzyma i mi przyśle te 150 tal., które mi przez S. obiecał, że tak dociągnę do lata, a tymczasem może się Pan Bóg nademną zlituje, albo mnie zabierze, lub dozwoli znaleść jakie takie utrzymanie! A tu dziś odbieram list od Ciebie i od X., i widzę grób otwarty przed sobą. Jeszcze tylko trzy dni mam tu mieszkanie, a od sześciu dni jest jedna filżanka kawy i kawałek chleba na południe całém mojém pożywieniem na 24 godzin; znasz mnie iż mało jem, jednak widzę że już zupełnie na siłach upadam i ból żołądka od głodu mi dokucza. Lecz i téj filżanki kawy już za kilka dni nie będzie, gdyż filżanka kawy kosztuje tu przeszło złoty, za dwa więc lub trzy dni cała nadzieja, że sprzedam materac, poduszkę i kołdrę, i to mnie jeszcze z dziesięć dni wyżywi, a potém!? — Lecz mój Boże, czemuż ja ci to piszę? czego lamentuję? już prawie chciałem list ten podrzeć, bo to nie po ludzku, niegodnie z méj strony takie ci zadawać rany, daruj, przebacz mi, bo nędza i rozpacz często nie wiedzą co czynią. Co chwila muszę przestać pisać, gdyż w mojém mieszkaniu nawet mi inkaust zamarza. Pisałem do X., pisałem także do pani Q. i już zapewne moje listy odebrali. Oświadcz im, że jeźli przypadkiem chcą mi odpisać, niech prześlą list pod znanym ci adresem post restante. I ty także najdroższy mój aniele tak adresuj i nie zapomnij aby koperta była płócienna i dobrze opieczętowana. Gdybyś mi pieniądze przysłać miała, na co liczyć nie mogę, prześlij mi takowe także pod znanym ci adresem. — Wdzięczny ci jestem za twoje dobre rady, bo wiem z jakiego pochodzą serca, lecz to tu wszystko na nic się nie przyda. Nikt tu nie dostanie urzędu kto nie umie po angielsku, tak dalece nawet, że poznałem tu młodego Polaka z Kongresówki, który dwa tygodnie późniéj tu przyjechał jak ja, człowiek wykształcony, bo należał w Warszawie do redakcyi gazety Warszawskiéj, już od dwóch tygodni prawie z głodu umiera i starał się napróżno o jakie zatrudnienie, chciał nawet już zostać furmanem do koni, markierem, dorożkarzem i Bóg wie czém, gdziekolwiek w gazecie wyczyta że jest jakiekolwiek miejsce, natychmiast biegnie, a wszędzie odpowiadają: nie możemy cię potrzebować, skoro nie umiesz po angielsku. Właśnie w téj chwili, kiedy list ten piszę jest u mnie, siedzi na moim próżnym kuferku i płacze że od wczoraj nic nie jadł, a ja mu, sam biedny, nic dać nie mogę, mając to samo uczucie w żołądku co on, choć może więcéj wytrwałości jak on, bo mu tego, żem także głodny nie pokazuję. — Egzystuje tu komitet; wiesz co tu jest komitet polski? oto każdy płaci dwa złote miesięcznie, byłem tam wczoraj. Emigrantom, którzy się bili teraz w Królestwie, i to tylko emigrantom, a mianowicie rannym, dają pierwsze dziesięć dni tutajszego pobytu po złotemu na dzień, potém nikt się o nich nie pyta. Byłem tam przed kilku dniami i miałem honor jako gorliwy patryota zapłacić dwa złote miesięcznéj składki, przez co straciłem na dwa dni kawę. Czy myślisz że się tu kto o kogo pyta? jakby mnie rano nieżywego w łóżku zastali, to mnie po śmierci do naga odrą, potém zajedzie fura, wezmą, zagrzebią i nikt się nie spyta kto był ten nieboszczyk, zkąd i jak się nazywał. Nie masz tu sposobu do egzystencyi, tu sylko szewc, krawiec, w ogóle rzemieślnik lub chłop, i to jeszcze musi być młody i silny aby mógł w porcie beczki i miechy dźwigać, mogą na życie zarobić, tacy mądrzy jak ja niby, umierają z głodu, i nie masz dnia, aby czasem kilkunastu życia sobie nie odebrało, i to nietylko Polacy, lecz z wszystkich narodów świata. Gdybym posiadał choć tylko 300 tal., mógłbym sobie egzystencyą zapewnić, a może przy szczęściu dorobić się nawet, a to przez handel. Tu wszystko handluje: serem, masłem, mlekiem, bótami, cygarami, jabłkami lub orzechami, a każdy tyle zarobi, że kapitału nie naruszy i ma darmo wyżywienie. Żebym tylko choć ze 300 lub 400 talarów posiadał, byłbym szczęśliwym i niczyjéj nie potrzebowałbym łaski, mógłbym nawet w niejakim czasie tobie i dzieciom dopomodz. Lecz cóż znaczą dobre życzenia, gdzie znajdę poczciwą duszę któraby mi pomogła?...

Gdy tak piszę, gdy tak myślę i rozpamiętuję, zdaje mi się, że patrzę na ciebie, że cię widzę, że rozmawiam z tobą, a tu mi w oczy zagląda okropna rzeczywistość i pokazuje, że to tylko złudzenie, że wszystko straciłem!!!... Wiesz, że tu jest okropna wojna już od kilku lat, że Stany północne, to jest Nowy York prowadzi wojnę już od czterech lat, żołnierze bardzo są poszukiwani. Spróbuję ostatniego ratunku i pójdę jutro zameldować się do wojska. Jeźli im nie będę za stary, to mnie przyjmą może, będę miał przynajmniéj odzież i komyśniak. Mam być samobójcą, toć lepiéj że mnie w boju zabiją, a nie mam innego wyboru tylko jedno i drugie. Podobno świeżo zaciągniętych żołnierzy kilka tygodni wprzód ćwiczą w mustrze w fortecy o 30 mil ztąd odległéj; tamby mnie jeszcze list od ciebie doszedł, bobym tu uprosił kogo aby wszystko za mnie z poczty odbierał i tam dotąd mi przesyłał, gdzie się bę-

dę znajdował. Lecz czy późniéj mnie listy twoje dojdą, czy list odemnie dojdzie ciebie, to tylko Bóg może wiedzieć, gdyż po kilku tygodniach popędzą nas na linią bojową przeciw nieprzyjacielowi, to jest przeszło tysiąc sześćset mil tu ztąd. Ja zapewne w marszu cierpienia moje doczesne zakończę, gdyż za stary już jestem i schorzały, mianowicie ostatnią chorobą tak osłabiony, aby marsz tysiąc kilkaset mil długi wytrzymać. Lecz cóż mam robić, ostatnia moja nadzieja komyśniak i trzy trojaki na dzień, a jeżli jeszcze i tego odmówią, żem za stary, toć mogę przecie od wszystkiego się na raz uwolnić.

Mój Boże! czy też poczciwa moja matka patrzy na mnie z nieba? — czy też widzi upadek mój i nędzę? upadek tego, w którym tak wielkie pokładała nadzieje? to są myśli, które mi tu już nieraz przyszły do głowy, z których tę przynajmniéj czerpię nadzieję, że taki anioł poczciwości uprosi Boga aby ostatni mój moment był przynajmniéj szybki i niezbyt bolesny. — Bywaj zdrowa moja poczciwa żono, matko moich ukochanych dzieci. Bywaj zdrowa moje ty wszystko na tym świecie. Twój cię do grobu kochający mąż *Wiktor.*

Dokończenie nastąpi.

Rozmaitości.

Łatwy sposób nabycia pary bótów. Do pewnéj oberzy w Berlinie przyszedł jakiś jegomość, kazał sobie dać pokoik na dwadzieścia cztery godzin i przywołać szewca. Na żądanie gościa przyszedł szewc, wziął miarę na bóty i odszedł z rozkazem, ażeby punkt na godzinę 10½ bóty były gotowe. Ledwie szewc ów był wyszedł, kazał nasz jegomość zawołać innego szewca i obstalował drugą parę bótów, lecz na godzinę jedenastą. Nazajutrz stawia się szewc pierwszy o godzinie pół do jedenastéj z bótami; jegomość przymierza bóty i znajduje, że prawy bót wybornie mu siedzi na nodze, lecz lewy niemiłosiernie go ciśnie. Rozkazuje więc szewcowi bót z lewéj nogi wziąść do domu, rozbić na kopycie i przynieść do jego stancyi, lecz nie prędzéj jak za trzy godziny, gdyż ważne interesa zmuszają go do wyjścia na miasto. Szewc odchodzi z jednym bótem. Nadeszła godzina jedenasta, przynosi drugi szewc obstalowaną parę bótów, lecz rzecz szczególniejsza, i teraz znów jeden bót za mały, lecz przeciwnie, bót za mały z prawéj nogi. Bierze więc szewc bót z prawéj nogi, odchodzi do domu aby go rozbić na kopycie, lecz nie ma go przynosić prędzéj jak za trzy godziny. Teraz mogą już obydwaj szewcy zejść się po zapłatę o jednéj i téj saméj godzinie. Obydwaj szewcy stawili się na czas oznaczony każdy z swoim bótem, lecz jakie było ich zadziwienie, gdy znaleźli drzwi zamknięte, a filut już dawno był po za bramami Berlina w dobranych bótach.

Obrachunek drzewa podług stóp kubicznych. Dotychczas powszechnie używano przy obrachowywaniu drzewa na stopy kubiczne, tak nazwanych tablic Hartwiga obecnie podajemy czytelnikom Kuryerka nowy, daleko prostszy sposób:

Stopy.	1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.	10.	11.	12.	13.
	—	—	—	—	13.	20.	27.	35.	44.	55.	66.	78.	92.
Stopy.	14.	15.	16.	17.	18.	19.	20.	21.	22.	23.			
	107.	123.	140.	158.	177.	197.	218.	241.	264.	289.			
Stopy.	24.	25.	26.	27.	28.	29.	30.	31.	32.	33.			
	314.	341.	369.	398.	428.	459.	491.	525.	559.	594.			
Stopy.	34.	35.	36.										
	631.	668.	707.										

Sposób obrachowania. (Przykład.) Długość drzewa wynosi 35 stóp, średnica wierzchnia 12 cali, spodnia 24 cali; te cale dodają się, co uczyni 36, dzielą przez 2, co uczyni 18 cali. W tabelli stoi pod liczbą 18. nr. 177., tę mnożę przez liczbę długości kloca 35. — 177

$$\begin{array}{r} 177 \\ 35 \\ \hline 885 \\ 531 \\ \hline 61{,}95 \end{array}$$

Odciąwszy dwie ostatnie liczby, okaże się: 61 kubików i $\frac{95}{100}$ (czyli stóp sześćściennych).

Ceny targowe w Poznaniu 26. Kwietn. 1865.

	Od tl.	Od sr.	Od fn.	Do tl.	Do sr.	Do fn.
Pszenica piękna, szefel po 16 garncy	2	3	9	2	7	6
Pszenica średnia	1	29	9	2	1	3
Pszenica ordynaryjna	1	22	6	1	25	—
Żyto przednie	1	11	—	1	12	—
Żyto lżejsze	1	9	—	1	10	—
Jęczmień duży	—	—	—	—	—	—
Jęczmień mały	—	—	—	—	—	—
Owies	—	—	—	—	—	—
Groch do gotowania	—	—	—	—	—	—
Groch na paszę	—	—	—	—	—	—
Rzep zimowy	—	—	—	—	—	—
Rzepik zimowy	—	—	—	—	—	—
Rzep latowy	—	—	—	—	—	—
Rzepik latowy	—	—	—	—	—	—
Tatarka	—	—	—	—	—	—
Koniczyna czerwona, cent. 100 fnt.	—	—	—	—	—	—
Koniczyna biała	—	—	—	—	—	—
Ziemniaki, szefel	—	14	6	—	16	—
Masło, garniec	2	10	—	2	20	—
Siano, centnar	—	—	—	—	—	—
Słoma, kopa po 100 fnt. w. z. c.	—	—	—	—	—	—
Olej rzepiowy, cent. po 100 fnt.	—	—	—	—	—	—
Spirytus, beczka 100 kwart, 80 st. Tral.	12	12	6	12	17	6

☞ Prenumeratę na Kuryerka Poznańskiego przyjmują: **Redakcya**, ulica Strzelecka Nr. 1.; p. kupiec **Kirszenstein**, ul. Wrocł.; p. księgarz **Rejzner**, ul. Wodna i narożnik Garbar; p. prof. **M. Braun**, Garbary wielkie; p. kupiec **J. Affeltowicz**, Chwaliszewo; p. kupiec **Cichowicz**, ul. Berlińska; p. **M. B. Dębiński i Sp.**, ul. Piaskowa Nr. 2.; p. **Dębiński**, organista arhidyecezyalny w psałteryi przy Tumie; p. **Ernest Malade**, ul. Frydrychowska Nr. 19.; kupiec p. **P. Nowicki**, ulica Wrocławska Nr. 9.; również **wszystkie księgarnie zamiejscowe.**

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni M. Zoerna w Poznaniu.